W środku poematu- przyszli żeby zobaczyć poetę.

... Oddziaływanie tej „nagiej” poezji na młodych to rzecz powszechnie znana

Czesław Miłosz o Tadeuszu Różewiczu w Polish Postwar Poetry

Jesienią są w Szczecinie dni gdy mgła obejmuje miasto rosnąc z tych wszystkich wilgotnych miejsc, rzeki Odry i jej rozlewisk, Jeziora Dąbie, Zalewu Szczecińskiego wreszcie znad samego Morza Bałtyckiego. Do nich ochoczo dołączają zaraz wszystkie rzeczki, strugi, jeziora i oczka. Biały tuman ściele się nawet gęsto i stoi nieruchomo pośród murów i konturów drzew ogołoconych już z liści wygląda jakby chciał wszystko sobą zasłonić, ba - za niemieckiego kazjera urzędnicy nie chcieli jechać do Szczecina narzekając na „zły klimat” pewnie mgły owe mając za duszące, ale komuś kto tu się urodził to nie przeszkadza. Antidotum jest rozpuszczone w jego krwi już z pępowiny.

Są i tacy co twierdzą , że skoro wokół jest szary socjalizm to nawet lepiej że go skrywa mgła. Biel jej odcienie muskające szarości maskują pospolitość nawet haseł propagandy nie widać! Bliżej rzeki tylko sygnały mijających statków potrafią przebić sztyletem ostrzeżenia przez mgłę.A lampy latarni karnie ustawionymi szeregami tworzą żółte plamy próbując się przebić nieporadnie przez mgłę lecz po paru kręgach z wysiłku bledną aż znikną i żeby zobaczyć je trzeba zadrzeć głowę wysoko a kto ma oko malownicze widzi je jak van Gogh światła nocy gwiaździstej. Tylko okna są bardziej zdecydowane w rozświetlaniu świata – bo nie zmagają się z tumanem mgły lecz dawszy jej przestrzeń szybą ustalają granicę , której wzajemnie przestrzegają. Ten który chce zobaczyć świat zewnętrzny widzi biel a ten który chce wrócić w przestrzeń za oknem widzi stały prostokąt niczym latarnia wiodąca do przystani. Wśród tych przystani wyróżniał się budynek rozparty w trójkącie ulic mający tych prostokątów niezliczoną zdawałoby się ilość lecz to tylko złudne wrażenie podparte zwielokrotnionym spojrzeniem przechodnia , który tam zdążał oczy mając zmęczone od czytania skryptów zapełnionych drukiem przypominającym raczej wydania samizdatów niż księgi mądre dla żaków przeznaczone. Bo ty był akademik przez studentów zwany pieszczotliwie slumsami. Enklawa niezależności i pogody nawet w niepogodę. Nie mogło mnie tam zabrakną: I ja tam gościem byłem i wino i miód piłem.

Ten kto z przyjaciółmi i w towarzystwie był ten wie, że rozmów staje się tematów wiele. A liczba jego była 3075, biesiadników rozmówców i waletów także liczba spora, byli ci którzy

uznawali , że studia należy wykonywać dokładnie , rok powtarzawszy , inni urlop dziekański na okoliczności dziwne zbierali. Mam w oczach młodzieńca , który chciał urlop dziekański na chorobę alkoholową dostać i zbierał , że tak się wyrażę argumenta, choć może bardziej że je wyciągał pozostawiając za sobą puste flaszki z których słyszałem SOS. Generalnie nikt nie chciał bronić ludowej ojczyzny w szeregach ludowej armii i studia były miejscem gdzie mogła zniknąć wszechmoc Wojskowej Komendy Uzupełnień. Ten , który unikał kamaszy a z którym spędzałem godziny całe na pogawędkach był nawet królem szczecińskich hippisów, choć może bardziej księciem bo rezydował na Zamku z Heniem zwanym Samotnikiem. O dziwo uczył się pilnie, bo przygotowywał się do kolejnych egzaminów wstępnych.

No było ich wielu, ciekawych i zagęszczających a jakże dyskusje po świt w oparach papierosowego dymu i wyziewów z opróżnianych butelek.

Wśród tych towarzyszy mojego studenckiego życia pojawił jeden jeszcze kolega, zwany Marinerem. Zapewnie dlatego , że pracował podobno na holownikach. Cieszył się z ciepła wspólnego bytowania ale znikał i pojawiał się zupełnie niespodziewanie, miał swój osobny szlak albo jak na marinera przystało mówić -swój kurs. No i jak to bywa kiedyś nasze kursy się skrzyżowały, weszliśmy kurs myślałem że kolizyjny ale potem burta w burtę i piwo w piwo. W nim był wyczuwalny ciężar, w końcu wyrzekł do mnie:

- bili mnie strasznie.

- niby kto? –zapytałem

- ZOMO a niby kto?- spojrzał na mnie- Ja chodziłem na lekcje pianina- pokazał dłonie- uczyłem się grać i właśnie szedłem na lekcję gry gdy zobaczyłem tłum.

- Jaki tłum?

- Manifestację 3 Maja, szła ulicami miasta, ja się natknąłem na nią kościoła garnizonowego , po prostu przechodziłem i stanąłem przyglądając się.

Widząc malujące się na mojej twarzy zdziwienie, ciągnął : stałem nie wierząc, że można tak wprost krzyczeć w świat co się myśli, wokół przecież same kłamstwa. I ja tylko się przyglądałem, nic nie robiłem, nie krzyczałem , nie rzucałem niczym. I z Potulickiej chyba ZOMO się wylało waląc pałami w tarcze i mnie złapali i porwali. Przecież niczego złego nie robiłem, po prostu stałem i miałem zaraz iść na tę lekcję gry na pianinie. Zaciągnęli mnie do suki jakiejś , wrzucili i zanim upadłem na podłogę pierwszy raz straciłem przytomność od bicia. Potem bili, bili i bili. Ale ja przecież nic nie zrobiłem, po prostu tam przechodziłem.

Wszyscy obecni w pokoju patrzyli w milczeniu na niego. Zmarniał jakoś, opuścił głowę, pochylił tułów.

Widzieliśmy człowieka

Siedzącego na krześle

Który zakrył twarz

Po chwili Mariner się otrząsnął ze złych wspomnień, dokończył jednym pociągłym łykiem piwo i się pożegnał.

Mnie za to jakby ktoś włożył na ramiona ciężar, którego nie chciałem, którego nie widziałem, którego nie rozumiałem i na który nawet nie czekałem przecież bo nie wiedziałem że ciężar odpowiedzialności przyjedzie do mnie.

Odwróciłem się w stronę wspomnień.

Zdjęcie ciężaru

Przyszedł do was
i mówi

nie jesteście odpowiedzialni
ani za świat ani za koniec świata
zdjęto wam z ramion ciężar
jesteście jak ptaki i dzieci
bawicie się

i bawią się

zapominają
że poezja współczesna
to walka o oddech

***

Już dawno minęło południe, postanowiliśmy się więc zakończyć nasze spotkanie. Kilku licealistów z IV LO spotkało się kilka dni przed maturą wykorzystując ładną pogodę i dni wolne, trzeci dzień maja to był piękny dzień. Mój horoskop na te dni brzmiał też całkiem udanie jak to zapowiadał Kurier Szczeciński : *Spotkanie w przyjacielskim kółku da ci powód do zastanowienia. Przyjrzyj się całej kwestii i wyciągnij wnioski, choćby wydawały się "niemożliwe".*

Spotkanie w przyjacielskim kółku? Pewnie , że byłem na tak! Wczesnym popołudniem 3 maja przy ładnej słonecznej pogodzie już byliśmy na spotkaniu w lokalu pod nazwą Baltona. Rozmowy były o zbliżającej się maturze, o tym że Pogoń wygrała z Wisłą, a Stal Stocznia z Lechią, że *Free Blues Band* ciekawie gra ale pewnie nie ma gdzie grać i co z tego dalej wyjdzie, że po egzaminach maturalnych warto byłoby gdzieś na chwilę wyjechać bo potem zacznie się dalsze wkuwanie. Byliśmy młodzi i jednocześnie dorośli i bosko niedojrzali nie tylko w kontekście egzaminu dojrzałości.

Czas wracać rzucił jeden z nas i podeszliśmy na przystanek tramwajowy. Gdy minęliśmy już most Długi na wysokości katedry Jasiu zobaczył tłum ludzi stojący przed kościołem.

- O, przecież msza za ojczyznę była, dzisiaj 3 Maja, wysiadamy.

Ruszyliśmy wszyscy do drzwi, tramwaj wyraźnie zwalniał. Andrzej rozłożył ręce widząc zamknięte drzwi ale motorniczy się wychylił się ze swojej kabiny:

- spokojnie chłopaki, zaraz się zatrzymam i wysiądziecie, uważajcie na samochody, powodzenia.

Przebiegliśmy przez jezdnię pod kładką i wbiegliśmy po schodach na górę. Tłum gęstniał, początkowe pojedyncze grupki powiększały się gorączkowo rozprawiając.

Rozejrzeliśmy się wokół i …poczuliśmy się tak jak przez ostatnie miesiące w stanie wojennym się nie czuliśmy, poczuliśmy się tak jak czuliśmy się przez 19 miesięcy Solidarności, poczuliśmy się między swoimi poczuliśmy się wolni, ba poczuliśmy się chorążymi wolności.

- Jasiu – szturchnąłem kolegę łokciem- zobacz, pokazałem na pobliskie bloki, jeszcze wiszą flagi po 1 Maja, dawaj zdejmiemy je. To nie było zbyt skomplikowane, nie było wtedy domofonów, zamkniętych bram. Szczupłego Jasia podsadzałem do wysokiego parapetu i trzymałem za nogi , kiedy głęboko wychylony wyjmował z uchwytów flagi. Wróciliśmy pod katedrę z naręczem biało-czerwonych flag. Rozdawaliśmy pierwszym z brzegu z tłumu zgromadzonych. Machaliśmy i podnosiliśmy je wysoko, w końcu ruszyłem przed siebie w stronę Bramy Portowej. Koledzy obok ,a tłum ruszył za nami.

Tak rozpoczęła się w Szczecinie manifestacja największa od czasów grudnia 1970 a my szliśmy na jej czele wołając *Solidarność, chodźcie z nami* i tym podobne. Po minięciu każdej przecznicy, każdej kolejnej ulicy tłum gęstniał, okrzyki były spontaniczne. W mijanych blokach nikt nie chował się za firankami, ludzie wychodzili na balkony i nas pozdrawiali , niektórzy machali rękoma a jak mieli to i flagami. Byli i tacy którzy stali przy oknach ze słuchawkami i przez telefon relacjonowali przebieg manifestacji ale już niedługo władze miały wyłączyć możliwość połączeń telefonicznych. Wszędzie był wyraz niedowierzania i radości, że jest jednak protest. Nigdzie nie było widać milicji, nikt niczego nie niszczył i niczym nie rzucał. Stłumiona przez mroźną zimę niechęć do komunistycznych władz w Szczecinie, która miała jak wszystko wiele źródeł, lecz przede wszystkim pamięć Grudnia i Stycznia wylewała się w majowe zielone ulice Szczecina.

Tłum wykrzyczawszy się i nacieszywszy się majowym powiewem wolności zapewne rozszedłby się z wolna, lecz na placu Zwycięstwa czekał już szpaler ZOMO, z pobliskich koszarów przy ul. Potulickiej zapewne.

I tu doszło do zwarcia, szpaler ZOMO miał zatrzymać manifestantów. Wśród manifestantów była chwila zawahania ale już widziałem pochylające ku brukowi sylwetki….

Odruchowo odwróciłem się , bo poczułem na plecach palący wzrok. Z okna naszego mieszkania wychylał się Ojciec, który mało nie wypadł wygrażając mi rękami i kategorycznie nakazując wrócić do domu.

Wtedy IV przykazanie było traktowane bardzo poważnie. I tak chorąży protestu musiał się wycofać z pochyloną głową , idąc powoli noga za nogą poddać się woli rodzicielskiej.

A Mariner pewnie w tej chwili wychodził z lekcji gry na pianinie…został zatrzymany wśród 249 ogółem jak podają skrupulatnie ale czy prawdziwie organa Milicji Obywatelskiej.

Mnie rzucać zakazano. Wstąpiłem na III piętro i w dole widziałem

Pozostało mi czytać w Kurierze i Głosie następnego dnia takie przekazy:

Zatrzymywano tramwaje i bezczeszczono flagi narodowe, w ekscesach tych wyróżniała się szczególną aktywnością grupa wyrostków- ludzi bardzo młodych.

Inny publicysta w tekście *Kostiumy i oczajdusze* pisze :

Trzeciomajowy poniedziałek, plac przykatedralny około siedemnastej. Stoję w pęczniejącym tłumie ciekawskich, oczekujących – co też to będzie. Uderza kontrast między spokojem przechadzających się na wskroś placu patroli wojskowych, a buzowaniem coraz to agresywniejszymi, co raz to gromkimi i nachalnymi okrzykami wznoszonymi przez grupę wyraźnie młodocianych osobników. Skandowanie, śpiewanie, wymachiwanie z nagła zerwaną z uchwytu na pobliskiej kamienicy, flagą narodową. Euforia i zacietrzewienie powiększającego się o nadciągające stada wyrostków demonstrującego gremium, podnosi się w miarę rozgrzewania go przez kilku prowodyrów.

W pewnej chwili rozpalony do białości tłum -próba generalna udała się – na hasło jednego z „chorążych" wylewa się w okolice Bramy Portowej.

W środę opisywali to co działo się we wtorek dając mocny tytuł „*Zbrodnicze manipulowanie młodzieżą"*:

Nie odseparowani w poniedziałek zbrodniczy liderzy i organizatorzy zamieszek po raz kolejny pchnęli ludzi do działań

Zabrał też głos towarzysz minister generał Czesław Kiszczak :

Każda próba siania niepokoju powiększa społeczne koszty, opóźnia procesy normalizacji, a społeczna opinia stwierdziła : Dezaprobata dla demonstratów- potępienie dla inspiratorów.

Tylko dyrektor jednego z najbardziej renomowanych Liceów Ogólnokształcących z ulgą wypowiadał się , że co prawda z jego szkoły nie było nikogo -całe szczęście dla pracy ciała pedagogicznego zapewne- ale on także potępia i twierdzi jak inni że trzeba ocalić młodzież.

Z jego szkoły nie było nikogo bowiem byli to uczniowie znaczących rodziców, którym oddano dzieci nie nadając biegu sprawie udziału w zajściach. Nierówności społeczne w socjalistycznej ojczyźnie nie są czymś odbiegającym od innych nierówności , boleśnie się o tym przekonać miał Mariner.

Pozostały mi także opowieści kolegów o prowadzonych utarczkach z ZOMO , chowaniem się po bramach i piwnicach. A w nocy już rządziło tylko ZOMO, odurzeni tłukli pałami co się dało , po samochodach, po przechodniach a gdy ci już uciekli to po szybach wystawowych, strzelali do witryn z miotaczy gazu. Ulice wyglądały jak pobojowisko i wszędzie śmierdział

gaz. Ten kto miał psa na takich ulicach jak Krzywoustego nie dziwił się , że zwierzęta odtąd bały się ZOMO bardziej niż człowiek.

Odtąd patrole ZOMO w pełnym rynsztunku przez kolejne dni gęsto patrolowały ulice bacznie kontrolując przechodniów, zwłaszcza młodzież.

****

W Klubie Pocztylion ogłoszono turniej jednego wiersza. Miałem taki wiersz który napisałem całkiem niedawno, stukając na maszynie do pisania wypożyczonej od Kwiatka. Lubiłem pisać na takiej maszynie, starodawnej , często brudząc ręce od czarnej taśmy albo fioletowej kalki.

W Klubie Pocztylion na ul Dworcowej konkurs polegał na tym, że oddawało się wiersz z godłem do publicznego czytania a potem było głosowanie na konkretny utwór. Nagroda chyba wynosiła 500 zł albo 1000 zł , co dla ucznia klasy maturalnej było bardzo poważną kwotą.

Wiersz był w stylu Majakowskiego , że tak się wyrażę- z rozstrzelanymi , rozciągniętymi wersami gdzie przedstawiałem monolog koniunkturalisty i konformisty, który zadaje pytanie dlaczego nie jest akceptowany. Przestawiał on swoje zasługi – że jak pan dyrektor o coś zapyta to zawsze powie, bo starszych i ważniejszych trzeba słuchać , a przecież to nie prawda że jest donosicielem, że to zły zarzut że bawi się plastikowymi pistoletami i karabinami bo przecież pan dyrektor powiedział że musimy się nauczyć zabijać naszych wrogów.

Tak to odtwarzam z pamięci, to był wiersz może na 2 kartki. Mnie się podobał, tak jak każdy wiersz który był „świeży" i nowy. Poprawiałem go ale nie za bardzo, bo od razu był akuratny. Może pod wrażeniem ówczesnej rzeczywistości adekwatnie opisywał moje wyobrażenie jak taki człowiek zaangażowany w poparcie dla ówczesnych władz mógł się tłumaczyć swoim dyskutantom. Oczywiście pod panem dyrektorem rozumiałem władze socjalistyczne ale pasował mi bardzo pan dyrektor bo jeden z moich szkolnych dyrektorów ciągle wzywał uczniów by mu opowiadali co się dzieje i co kto mówi i co kto robi.

Wiersz włożyłem do koperty i ruszyłem ul. Krzywoustego w stronę ul. Dworcowej. Daleko nie doszedłem gdy zaczepił mnie Zomowiec ubrany w pełnym rynsztunku na kształt jakiegoś ciężkozbrojnego owada. Był do tego solidnej postury , gdzie mi tam do niego , mnie jak to pisała socjalistyczna prasa – wyrostkowi.

Legitymowanie i kontrola były na porządku dziennym , patrole wojskowe , patrole milicji i zomo , aż gęsto było na ul Krzywoustego od nich. Patrole wojskowe były w porządku, niczego się nie czepiały , nic nie ubliżały , nie robiły większych problemów oprócz wylegitymowania. Nawet nie sprawdzały rąk, czy nie pobrudzone.

Natomiast milicja i Zomo to się przykładały do tych kontroli. Wydawało mi się że mam patent na te kontrole, po prostu nosiłem w ręku dowód osobisty, z którego byłem dumny bo dopiero co go dostałem, był otwarty na stronach z danymi personalnymi i mówiłem:

- proszę sprawdzić ale tamci panowie- i machałem ręką gdzieś za siebie- przed chwilą mi sprawdzali ! I robiłem minę skromnego uczniaka.

Działało , kontrolujący machali ręką : idź dalej. Ale tym razem nie zadziałało.

Zomowiec capnął ten mój dowód swoją wielką dłonią i szarpnął mnie:

- tutaj do bramy , właź – rozkazał i skierował mnie do bramy szarpiąc za ramię.

Wyglądał na szalonego albo naćpanego , kapnąłem się że coś z nim nie tak , że ma jakąś zadrę za poprzednie dni chyba.

- Rany , on mi spuści łomot w tej bramie czy co?

Myślałem gorączkowo- prysnę szybko , znam tu wszystkie przelotki między starymi kamienicami i niech mnie pocałuje w bambuko. Wszyscy chłopcy ze śródmieścia wiedzieli co robić w takiej sytuacji dlatego ZOMO miało problem w zaułkach oficyn i wąskich przejść w tej części śródmieścia, czy to ul. Małkowskiego, czy ul. Łokietka czy ul. Królowej Jadwigi czy ul. Bogusława – tutaj było gdzie się schować i przemknąć.

No tak ale ma mój dowód – gdybym wiedział nie pokazywałbym go ale po prostu wcześniej odwrócił się na pięcie i poszedłbym w inną stronę.

No to wpadłem – pomyślałem – ale zawsze mogę krzyczeć , brama nie miała zamkniętych wierzei , z ulicy było widać co się dzieje w bramie, jacyś przechodnie mogliby zareagować , może patrole wojskowe?

Zomowiec ustawił mnie pod ścianą i uderzył mnie w klatkę piersiową że nie mogłem złapać oddechu i przylgnąłem do ściany.

- pokaż kurawa łapy – rozkazał

Wyciągnąłem dłonie i kazał mi je obracać, nic nie zobaczył.

- gdzie masz torbę?

- nie mam żadnej torby

- kieszenie, opróżnij kieszenie – krzyknął

- ale ja już byłem kontrolowany- odpowiedziałem

- nie pyskuj, opróżnij kieszenie

- wszystkie – dodał widząc że tylko te w spodniach z przodu opróżniam, niewiele tam było , klucze , drobniaki, chusteczka

- tam z tyłu – dodał, widząc że się ociągam , szarpnął mnie i wyciągnął kopertę.

- co ty tu masz gówniarzu – a przecież niewiele mógł być ode mnie starszy

Miał problem z tymi rękawicami ale ściągnął je i wyciągnął …wiersz na konkurs w Klubie Pocztylion.
Przeczytał.

Miałem pecha, widać był z tych co w patrolu czytają, a nie piszą coś w tych ich małych notatnikach.

Czytając widziałem jak się ….zmieniał, chyba się zdenerwował

No to po mnie – pomyślałem – dostanie szału i mnie tu zmasakruje. Znowu mi przyłożył , że przylgnąłem do ściany.

Ale coś przemyślał i powiedział do mnie:

- To ty taki jesteś – i tu zawiesił głos.

- Jaki, no jaki – zapytałem i dodałem:

- przecież ja nic nie zrobiłem! Spokojnie szedłem ulicą i byłem już kontrolowany!

Zomowiec coś przemyślał, coś mu tam zaświtało i powiedział :

- idziemy

Schował kartkę z wierszem do koperty, dowód schował do jakiejś kieszeni w tym swoim owadzim stroju , założył mi chwyt nie że nie mogłem się wyrwać i mnie poprowadził.

No to wpadłem jak śliwka w kompot – pomyślałem – prowadzi mnie gdzie spokojnie cała drużyna zomowców sprawi mi taki łomot że nie rodzice mnie nie poznają. A może w ogóle mnie gdzieś wywiozą? Miałem już porządnego pietra.

Przechodnie niektórzy spuszczali głowy, niektórzy spoglądali ze współczuciem, inni- bardzo nieliczni z satysfakcją.

Pewnie tajniaki albo pismaki z prasy co pisali o młodocianych wyrostkach burzących ład społeczny – myślałem po drodze.

Okazało się , że przeszliśmy do jakiego sztabu utworzonego na ulicy 3 Maja- co za zbieg okoliczności pomyślałem że 3 Maj mi nadal towarzyszy, gdzie były z gazików utworzone miejsca chyba dowodzenia. Koledzy Zomowca ciekawie na nas patrzyli :

- złapałeś coś?

- tak , prowadzę go do dowództwa – pochwalił się zomowiec twardo mnie trzymając.

Dowództwem okazał się młody wysoki kapitan ubrany w zwyczajne moro milicyjne bez tej owadziej uprzęży.

- Obywatelu kapitanie przyprowadziłem tutaj takiego jednego.

- Co zrobił?

- No nic , ale…

- Ręce, kurwa , ręce pokaż , rzucił do mnie kapitan

Posłusznie wyciągnąłem ręce – bo zomowiec wypuścił mnie z uścisku

- czyste – z nutą zawodu powiedział kapitan

- ja już sprawdzałem – ma czyste – pochwalił się swoją gorliwością „mój" zomowiec

- no to po co go tu przyprowadziłeś? Zrobił coś? Krzyczał?

- nie, ale miał to – i tutaj zomowiec wyciągnął rękę z kopertą z moim wierszem.

- Co to jest? – zapytał kapitan

- no właśnie, co to jest? To trzeba sprawdzić!

Kapitan otworzył kopertę i zaczął czytać mój wiersz. Szczęki zaczęły mu chodzić, przeczytał jeszcze raz , spojrzał na mnie uważnie i na moją mikrą postać nie kojarząc się widać z młodocianymi wyrostkami zrywającymi flagi i kostki brukowe, wznoszące nieprawomyślne okrzyki.

- co to jest – zapytał mnie kapitan

- no wiersz

- czyj ?

- mój

-twój?

- no mój , a czyj.

Mięsił jakieś słowa kapitan w ustach ale w końcu powiedział:

- idź mi stąd, wynocha

Po chwili ciszy , pierwszy zareagował zomowiec

- ale obywatelu kapitanie, ja go złapałem, ja ! jak możemy go puścić.

- niech mi idzie stąd – machnął ręką obywatel kapitan.

- chociaż jakiś łomot panie kapitanie

- niech mi zejdzie z oczu –kapitan rękę wyciągnął w stronę przejścia między gazikami ponaglając.

O kurcze – pomyślałem -ale mi się upiekło, jak ściskał te szczęki to myślałem że mnie uderzy.

Ale, ale – przecież ja nie mogę pójść do Klubu Pocztylion bez wiersza!

- Proszę mi oddać wiersz – poprosiłem grzecznie ale stanowczo milicyjnego kapitana

Ten spojrzał na mnie z rosnącą wściekłością:

- spierdalaj stąd, ale już !

Nie przeciągałem już dłużej tego kontaktu z zomowcami i odszedłem ścigany ponurym spojrzeniem zomowca , który mnie przyprowadził. Gdy odszedłem wystarczająco daleko od zawiedzionego zomowca obejrzałem się i z dali zobaczyłem że kapitan się jakoś zgarbił, jakby powietrze z niego uszło.

Klub Pocztylion oczywiście okazało się , że jest zamknięty na głucho. Miałem plan żeby deklamować ten wiersz z głowy, oczywiście opierając się także na improwizacji odnosząc się do bieżących wydarzeń , które były moim udziałem.

W Klubie Pocztylion w następnym miesiącu wygrałem konkurs poetycki wierszem o pomnikach atomowych głowic, już nie nawiązywałem do pana dyrektora. Wygrałem o włos z Andrzejem , który towarzyszył mi jako młodociany wyrostek przy zajściach 3 Maja.

Jego niezły wiersz przepadł, bo głosującym nie przypadła do gustu poetycka przenośnia o „kurewstwie egzystencji" gdzie bardziej bezkompromisowo odnosił się do otaczającej nas rzeczywistości.

****

Kiedy leżałem tak przewracając się z boku na bok w akademiku, myślałem o swoim szczęściu , którego nie miał Mariner.

Nie jest to sprawiedliwe , czy tak może być? A może tak właśnie wygląda życie? To jest właśnie to dorosłość przed którą przestrzegają rodzice?
Kto mógłby odpowiedzieć na takie pytanie? Poezja? Poeta? Czy jakiś mistrz?
Gdzieś z mroku nadeszły słowa:

Szukam nauczyciela i mistrza

niech przywróci mi wzrok słuch mowę

niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia

niech oddzieli światło od ciemności

***

Jesteśmy odpowiedzialni

za kształt każdego człowieka

Jeśli zapomnimy o tym

nasza poezja

będzie godną pogardy

gadaniną

Lecz jak się wkrótce okazało ta historia z zajściami 3 Maja zdawała się nie mieć końca.

Przygotowując się do matury zdarzyło się, że my którzy tam wysiedliśmy z tramwaju pod Katedrą musieliśmy przyjechać do szkoły.

Traf chciał że zobaczył nas Żelazny, komisarz wojskowy szkoły. W tamtych czasach w każdej szkole a przynajmniej w naszej był komisarz wojskowy , który jak mniemaliśmy po linii wojskowej stanowił przedłużenie WRONy i był kolejnym który pilnował porządku w szkole czy zakładzie pracy obok dyrektora i szefa Podstawowej Organizacji Partyjnej.

Nasz komisarz zwany Żelaznym, dlatego że sam się tak nazwał , bo uważał się z twardego faceta , który rozpracował siatkę szpiegów w Szczecinie w dawnych czasach i aresztował ludzi na granicach, ale generalnie był wojskowym. Jego hobby to była strzelnica na zaadaptowanym strychu szkoły i planował także wybudowanie schronu przy szkole, chociaż piwnice szkoły mogły uchodzić za schron. Ale postanowił wybudować schron typu ziemianka na terenie przyszkolnym a że boisko z oczywistych względów nie wchodziło w grę jego wzrok wpadł w końcu na małe działeczki przyszkolne gdzie niektórzy nauczyciele hobbystycznie uprawiali warzywa często dostarczając je do szkolnej stołówki.

Oczywiście wzbudzało to niezadowolenie działkowców, szczególnie jednego który był oponentem komisarza i zawsze nam na boku opowiadał różne ciekawe rzeczy z historii prawdziwej. Małorolny , jak go przezywał komisarz Żelazny , szczególnie dawał mu się we znaki bo był znany ze swojego nonkonformizmu i tak nie dorobiliśmy się schronu który by nas dodatkowo obronił przed złowrogim NATO.

Komisarz Żelazny był odpowiedzialny za naszą edukację na odcinku przysposobienia obronnego. Co mu wychodziło średnio dobrze, ale nie ze względu na swoje kwalifikacje bo był przecież oficerem , doświadczonym w terenie a nie za biurkiem i rzeczywiście zaangażowanym , chociaż tu lepszym przykładem jest strzelnica niż schron na który już przywiózł stare podkłady kolejowe a Małorolny zablokował całkiem słusznie budowę schronu.

Dlatego wychodziło mu średnio dobrze bo niestety miał słaby materiał uczniowski, oporny, krnąbrny i w opinii wielu nauczycieli słaby intelektualnie. Niemniej prowadził swoje lekcje z pasją i zaangażowaniem, tłumacząc jak zakłada się maskę gazową, co trzeba robić by uratować przywalonych gruzem i tym podobne. Te maski przeciwgazowe z chlebakami ginęły mu nagminnie, wojskowy chlebak był wręcz podstawowym wyposażeniem licealisty, a Krzysztof – kolega z naszej klasy straszył sprzedawczynie w okolicznych kioskach na Gumieńcach przychodząc jesienią po zmroku ubrany w taką maskę gazową i prochowiec

żądając sprzedaży wody brzozowej. Ach i jeszcze na tych chlebakach malowaliśmy różne rzeczy, na przykład nazwy zespołów czy co kto tam chciał. Andrzej , który tak dzielnie sobie radził 3 Maja, na przykład miał wymalowane przedwojenne granice Polski ze skradającym się olbrzymim czerwonym pająkiem ze Wschodu. Miał nawet przez to kłopoty, bo go zaatakował w tramwaju linii nr 8 , którym dojeżdżaliśmy do szkoły , jakiś aktywista ORMO. Niby zaspany taki siedział , pewnie udawał żę śpi ale czujnie, aż się zerwał jak to zobaczył na chlebaku Andrzeja i próbował zerwać mu chlebak z ramienia. Na szczęście byliśmy w kilku , co dało nam przewagę i ORMOWca wypchnęliśmy na pozycje tyłowe. Krzyczeliśmy przy tym oczywiście że to napad, dzisiaj bardziej świadomi jesteśmy i pewnie krzyczelibyśmy : zboczeniec.

Oczywiście uczył nas Komisarz Żelazny także innych rzeczy , że w przypadku wybuchu atomowego mamy kłaść się na ziemię nogami w kierunku wybuchu i nakrywać rękoma głowę, jakby to miało nam pomóc przeżyć. Do tego wystarczały mu tablice zawczasu przygotowane jako pomoce naukowe. Czasami się trafił nawet jakiś film po który trzeba było jechać do wypożyczalni na ul. Wojska Polskiego , gdzie szkołom udostępniano filmy edukacyjne wyświetlane projektorami. Filmy były w blaszanej puszce.

Filmy o tematyce obronnej były mało atrakcyjne w przeciwieństwie do filmów o zagrożeniu chorobami wenerycznymi , które nam regularnie puszczano w ramach edukacji społecznej. Ale samo wyznaczenie po odebranie filmu na ul. Wojska Polskiego to już było coś, wtedy było się zwolnionym z lekcji, sam dojazd i powrót zajmował ze 3 godziny , można było spokojnie zapalić zakazanego papierosa i mieć legalnie usprawiedliwioną nieobecność. Co do tych filmów o zagrożeniach chorobami wenerycznymi to jeśli nie było nauczyciela podczas projekcji i udawał się na papierosa albo plotki, to uwielbialiśmy zatrzymywać film w spektakularnych momentach i robić sztubackie żarty.

Wracając do Komisarza Żelaznego , to miał z nami wyjątkowego pecha. Należąc do awangardy ruchu antysocjalistycznego znając poglądy Komisarza Żelaznego prowokowaliśmy różne dyskusje na lekcjach przysposobienia obronnego , świadomie godząc w gotowość militarną wojsk Układu Warszawskiego oraz kwestionując wyższość demokracji socjalistycznej nad zgniłym kapitalizmem.

Typowa dyskusja wyglądała tak :

- Panie profesorze, a dlaczego Breżniew nie da spokoju Polsce?

- Macie mówić towarzysz Leonid Breżniew

- jaki tam on dla nas towarzysz? Przecież ani go nie znamy ani nie był z nami na żadnym biwaku.

- to mówcie pan Leonid Breżniew

- no , panie profesorze, na pana to trzeba mieć wygląd a Breżniew nie ma takiego wyglądu, musi się pan zgodzić.

O dziwo, profesor jakoś to znosił i nasze przekomarzanki trwały na tych lekcjach pozwalając nam miło spędzić czas.

Raz się przygotował do takiej lekcji i na stojaku do map zawiesił tekturę z napisami :

Towarzysz Leonid Breżniew

Pan Leonid Breżniew

Nie jesteś z Leonidem Breżniewem na ty

Wywołało to w nas duże zadowolenie bo wiedzieliśmy już że lekcji obronnej przed NATO nie będzie , tylko będziemy się uczyć socjalistycznego savoir vivru.

I taki właśnie był Komisarz Żelazny, który spotkał nas na schodach już po zajściach 3 Maja a przed maturą.

- O dobrze , że was widzę , musimy pogadać – pokazał ręką w kierunku gabinetu przysposobienia obronnego

Był całkiem miły i grzeczny , zresztą jak reszta nauczycieli, właśnie byliśmy abiturientami , owocami ich pracy pedagogicznej, a nie kąśliwą trudną młodzieżą sprzed zaledwie kilku miesięcy.

Gdy weszliśmy do klasy Komisarz Żelazny natychmiast zamknął od środka klasę, czym nas zupełnie zaskoczył i kazał nam usiąść w ławkach.

Usiedliśmy zdezorientowani a Komisarz Żelazny powiedział raczej retorycznie:

- czy wy nie macie już nic a nic rozumu? Czyście oszaleli?

Unieśliśmy brwi wysoko, o co mu chodzi?

- panie profesorze o co panu chodzi?

- nie udawajcie niewiniątek!

- panie profesorze my naprawdę nic nie zrobiliśmy!

- a kto wywołał zajścia 3 Maja?

Zapadła chwila ciszy, zastanawialiśmy się skąd on u licha o tym wie, i co teraz będzie?

Pierwszy się odezwał Andrzej, który zawsze był odważny i ….spontaniczny

- Hola, hola panie profesorze , dlaczego wszystkiemu zawsze jesteśmy winni my, z naszej klasy? Po prostu nas nie lubicie i nam wszystko przyszywacie.

- No ciebie to pierwszego rozpoznałem ,Andrzej – Komisarz Żelazny się nieco uśmiechnął co dało nam nadzieję, że tutaj nie będzie czegoś strasznego.

- Niby gdzie mnie pan rozpoznał?

- no jak gdzie? Na zdjęciach – tu chciał pewnie coś powiedzieć mało przyjemnego ale przecież już byliśmy abiturientami – młody człowieku, na zdjęciach.

No i rozpoczęła się rozmowa.

Komisarz Żelazny zamknął klasę by nikt nie wszedł i nie usłyszał przypadkiem o czym rozmawiamy.

Okazało się że na komendę wezwano wszystkich komisarzy wojskowych i ważniejszych nauczycieli. Na zrobionych zdjęciach przez SB mieli rozpoznawać uczniów.

Z naszej szkoły, jak się okazało na nasze szczęście, wezwano Komisarza Żelaznego.

Komisarz Żelazny jako człowiek munduru i pracy w terenie a nie za biurkiem, poczuł się zdegustowany wezwaniem do denuncjacji uczniów za których przecież edukację i wychowanie czuł się odpowiedzialny. Nie był zwykłym nauczycielem, którego można by było czymś zastraszyć , tylko oficerem na emeryturze, który swój czas poświęcał na naukę zakładania masek przeciwgazowych żeby więcej uczniów mogło przeżyć podczas ataku gazowego NATO, ćwiczeniami na strzelnicy strychu szkoły czy też zamiarom powiększenia potencjału Układu Warszawskiego poprzez budowę schronu na ogródkach działkowych. Jednak był najwierniejszym z najwierniejszych , socjalizm i niepodległość to dla niego były synonimy. Nie był z tych partyjnych koniunkturalistów, był że tak się wyrażę szczerze wierzący w socjalizm.

- Myślałem że mnie szlag trafi – opowiadał nam Komisarz Żelazny- jak zobaczyłem tych belfrów gorliwie wskazujących na zdjęciach swoich uczniów. Jak można denuncjować swoich uczniów? – gorączkował się.

- Jak tam jechałem to miałem duszę na ramieniu, ciągle myślałem czy będą te moje łobuzy ze szkoły. Raz sobie odpowiadałem że chyba nie są tacy głupi, a raz że to niemożliwe żeby ich nie było przy takiej zadymie. No ale nie przypuszczałem żeście się aż tak zaangażowali!

Ale muszę wam udzielić reprymendy, nie pomyśleliście o swoich rodzicach którzy przeżywają wasz egzamin maturalny. To zwieńczenie ważnego etapu edukacji. Przecież matura jest za kilka dni! A wy nie pomyśleliście jaki zawód zrobicie rodzicom i sobie samym. Ci których rozpoznano na zdjęciach z pewnością nie będą mieli łatwo na maturze, jeśli w o ogóle dopuszczą ich do matury.

Po chwili ciszy , Komisarz Żelazny powiedział :

- a o naszej rozmowie cicho sza, nikt nie ma wiedzieć.

Otworzył salę i nas szybko wypędził życząc powodzenia na maturze. Bez zwlekania wyszliśmy i jeszcze przez chwilę pod szkołą rozmawialiśmy niby o niczym ale ciągle będąc pod wrażeniem wywodów Komisarza Żelaznego nie przedłużaliśmy rozmów i każdy udał się do domu raczej w zadumie.

Nieco później dowiedziałem się , że zdjęcia także okazywano innym których ujawniono bądź złapano. Koledzy z dzielnicy śródmieście, których podczas marszu 3 Maja zachęcałem do udziału w marszu a którzy później z różnych względów mieli do czynienia z milicją obywatelską mówili:

- no student, byłeś na tych zdjęciach ale ujęcia im nie wyszły, flagi cię zasłaniały. No to jak mogliśmy ciebie rozpoznać?

Co do Komisarza Żelaznego w czasach już wolnościowych miałem wrażenie że go rozpoznaję na niewyraźnych zdjęciach gazetowych na obchodach 1 Maja pod Pomnikiem Trzech Orłów, gdzie emeryci byli wyraźnie podobni do siebie w tych prochowcach i małymi parasolkami przygotowanymi zarówno na deszcz czy potencjalny protest ich przeciwników.

Mieliśmy też okazję się spotkać dwukrotnie w bardziej kameralnych warunkach, gdy na obchodach jubileuszu szkoły wielu podagogom nadal miękły nogi na nasz widok, to Komisarz Żelazny dał się pogodzić nawet z Małorolnym mocząc przy tym gardła w przednim piwie Bosman. Nie ukrywam że było to moją osobistą zasługą, machnęli ręką na dawne spory o działkę Małorolnego pod schron niby przeciw atomowy Komisarza Żelaznego.

Przywdziali koszulki z logo szkoły i uroczyście trzymali szklanice z Bosmanem.

Dużo później , wieczorową porą spotkałem Komisarza Żelaznego w tramwaju linii 2 na Niebuszewie, chyba trochę polubił te Bosmany bo życzliwie się uśmiechnął widząc mnie:

- co tam słychać?

- no jakoś idzie panie profesorze – odpowiedziałem ogólnikowo

- a co tam w polityce? – bo akurat rządziła lewica , specjalnie mnie zagadnął w ten sposób

- myślę że mogłoby by być lepiej

- I ja też tak myślę, wiesz , chodzę na nasze zebrania, ale to nie tak miało być z tą lewicą, nie tak…

Wstał bo zbliżał się jego przystanek, wyciągnął rękę do pożegnania a ja uścisnąłem serdecznie jego dłoń po raz ostatni.

Andrzej, któremu to opowiedziałem po jakimś czasie , sprawdził że Komisarz Żelazny odszedł z tego świata. Myślę że Małorolny też i razem dzięki nam piją tego Bosmana tam gdzieś w okolicach Parku Kasprowicza albo działek tylko ich nie widać, jeśli nie założy się specjalnych okularów.

To było trzecie przypomnienie mojego farta. W głowie sam się ułożył wiersz

Do Mistrza

Mistrzu nie mam lat 24

I nie wiem czy ocaleję

Budować ledwie zacząłem

I dopadł mnie lęk

Nie może być takich przypadków, pomyślałem. Pewnie jest gdzieś mistrz. Ale może to „gdzieś" jest bardziej uchwytne.

Rozmyślałem jak dyskutowaliśmy o wierszach Tadeusza Różewicza i które ciągle jakoś wywoływały na nas wrażenie. Znaliśmy oczywiście Kartotekę która akuratnie trafiła w nasze ówczesne gusta. W szkolnej bibliotece mieliśmy dobry kontakt z bibliotekarką , która pochwalała nasze zainteresowanie twórczością Tadeusza Różewicza.

Nasza szkolna paczka w praktyce się rozpadła po maturze, ale trzymaliśmy kontakt z Adrzejem dzięki któremu poznałem fajną paczkę z Prawobrzeża, nawet zacząłem się spotykać z dziewczyną z Prawobrzeża.

Koledzy z Prawobrzeża, Bob i Julo też lubili poezję Tadeusza Różewicza, tak więc gdy Andrzej zdecydował się na studia we Wrocławiu – powiedzieliśmy :

- O , jak się dostaniesz tam na studia to odnajdziesz Różewicza , a my z nim pogadamy co „poeta miał naprawdę na myśli".

Andrzej dostał się na studia we Wrocławiu o czym nam pisał w listach, że trochę ciężko tam mu się żyje ale się stara a z Różewiczem znalazł kontakt po ….szczecińsku.

Jak się okazało „ kontakt po szczecińsku" oznaczało że wzorem doświadczeń ze Szczecina, po prostu poszedł na pocztę główną , jak u nas na ul. Bogurodzicy i przejrzał książkę telefoniczną mieszkańców Wrocławia i znalazł zarówno numer telefonu jak i ulicę zamieszkania z numerem bramy.

Na wszelki wypadek udałem się na ul Bogurodzicy i znalazłem książkę telefoniczną Wrocławia i to potwierdziłem. Na poczcie trudno było o książkę abonentów Szczecina bo ciągle kradli ale innych miast były dostępne i wyłożone. Pomyślałem że pewnie we Wrocławiu mało kto się interesuje książką telefoniczną Szczecina i sobie leży gdzieś tam jako mało interesująca.

Adres, czyli ul. Januszowicka się zgadzała , więc pomyślałem że Andrzej dobrze się przygotował.

Z wyjazdem zwlekaliśmy ale po tej jesiennej wizycie Marinera i ciągiem skojarzeń zacząłem naciskać na wyjazd do Różewicza zarówno Boba i Jula w Szczecinie jak i Andrzeja we Wrocławiu.

Koniec końców stanęło , że jedziemy nocnym pociągiem do Wrocławia 12 grudnia 1982 roku. Andrzej miał nas odebrać rano na dworcu we Wrocławiu.

Podróżowaliśmy ze Szczecina we trzech : Bob, Julo i ja. Ścisk w pociągu był niemożebny.

Było mroźno , więc wszyscy byli opatuleni, na szczęście w pociągu działało ogrzewanie.

W przedziale oprócz naszej trójki były same kobiety przy kości i obładowane różnymi tobołami. Wyglądały jak w filmach z czasów okupacji , gdy pociągami dowożono do okupowanej Warszawy jedzenie ze wsi. Toboły z takich prześcieradeł wyglądały podobnie. Kobiety były rezolutne i wesołe, skoro byliśmy jedynymi mężczyznami w przedziale zagadywały czasem do nas popijając co nieco z piersiówek.

W końcu odważnie jedna z nich powiedziała podczas wyciągania ścierpniętych nóg od długiego siedzenia w jednej pozycji w ścisku :

- no za moich czasów to kto inny rozkładał nogi a nie chłopy.

Nie daliśmy się sprowokować na te zaczepki i szczęśliwe rano wysiedliśmy w zaśnieżonym Wrocławiu i z naprawdę zimową temperaturą.

Andrzej zgodnie z umową czekał na nas na stacji. Na nasze pytanie :

- czy Różęwicz już czeka na nas?

Jakoś nie odpowiadał wprost, tylko wymijająco twierdził że wie gdzie Różewicz mieszka i że dzwonił tam parę razy.

Udaliśmy się od razu na ul. Januszowicką, kamienice nieco przypominały te szczecińskie ale były jakby okazalsze. Brama naprawdę duża i schodami idziemy na górę, a tu spore jak się okazało zaskoczenie.

Otworzyła żona Tadeusza Różewicza i zobaczywszy naszą gromadkę , wyglądała na naprawdę zdziwioną.

-Panowie w jakiej sprawie?

- No my przyjechaliśmy do pana Tadeusza Różewicza – poety

- Ale czy byliście umówieni?

Spojrzeliśmy na Andrzeja :

- ja tu dzwoniłem parę razy do państwa…

Widząc zdziwioną minę pani Różewiczowej , szybko dodałem.

- Proszę pani , bo my jechaliśmy tutaj całą noc z daleka.

- w taki mróz z daleka?

- tak proszę pani, całą nocą w ścisku jechaliśmy

- No cóż skoro jechaliście całą noc, to myślę że da się coś zrobić. Mąż jest w domu, ale musi się przecież przygotować na takie spotkanie. Proszę przyjdźcie za jakieś 2 godziny.

- dobrze proszę pani – ucieszyliśmy się, bo coś to spotkanie krucho wyglądało w pierwszej chwili , ale jakoś nie mieliśmy większych pretensji do Andrzeja, który zapewniał że kilkukrotnie dzwonił do Różewicza i z nim rozmawiał, że nie problemu byśmy wpadli.

Zaczęliśmy się kręcić po Wrocławiu , lecz generalnie wszystko było pozamykane. W jakimś lokalu powiedzieli że jeśli chcemy kawę to musimy mieć swoją a dostaniemy wrzątek.

Ale herbata się znalazła, więc zamówiliśmy gorące herbaty, które wzmocniliśmy z powodu mrozu tak zwanym prądem i zjedliśmy parę kanapek.

Uznaliśmy , że minęło wystarczająco dużo czasu i udaliśmy się z powrotem na ul. Januszowicką.

Tym razem otworzył nam drzwi mężczyzna z brodą pykający fajkę, wyglądał jak poeta. W dodatku wokół roztaczała się intensywna i aromatyczna woń tytoniu fajkowego amfora.

- mistrzu , my do ciebie! – powiedzieliśmy chórem

Mężczyzna pokręcił głową i otworzył szeroko drzwi i powiedział pokazując fajką w prawo

- ojciec jest tam, wchodźcie proszę.

Tadeusz Różewicz czekał na nas w drzwiach swojego pokoju ubrany w koszulę i kamizelkę, niski uśmiechnięty pan z włosami przyprószonymi siwizną.

- dzień dobry – powiedział Tadeusz Różewicz i podał każdemu z nas rękę i zaprosił do swojego pokoju.

Pokój był skromny , wystrój cechował minimalizm ale nawet spory bo się spokojnie zmieściliśmy, z tym że Julo usiadł na podłodze a Andrzej z Bobem nieco z boku. Tak się złożyło , że ja usiadłem na krześle naprzeciwko Tadeusza Różewicza.

- *Przyszliście żęby zobaczyć poetę?* – zapytał

- Przyszliśmy aby porozmawiać z poetą – odpowiedzieliśmy

- no to porozmawiamy – odparł

Dostaliśmy herbatę przygotowaną przez panią Różewiczową, natomiast Tadeusz Różewicz wyciągnął mały kajecik i ołówek czy długopis i zwrócił się do nas :

- podajcie mi swoje dane

Zamurowało nas, spojrzeliśmy na siebie i ja wykrztusiłem:

- mistrzu , będziesz nas spisywał jak Zomo? Oni też wpisują w takie kajeciki.

Tadeusz Różewicz uśmiechnął się pokręcił przecząco głową:

- nie , nie będę was spisywał jak Zomo , ale mam różne spotkania i zawsze notuję żeby później kiedy ktoś się kontynuuje spotkania, wiedzieć z kim i kiedy się spotkałem i o czym rozmawialiśmy.

Po wypowiedzeniu tych słów, odłożył notes i długopis na bok, spiął dłonie i zapytał:

- a skąd w ogóle przyjechaliście? Żona mówiła że jechaliście całą noc.

- ze Szczecina , przyjechaliśmy ze Szczecina mistrzu

Tadeusz Różewicz momentalnie zmienił sylwetkę , wyprostował się i uśmiechnął się:

- naprawdę przyjechaliście ze Szczecina?

Kiedy potakująco zaczęła kiwać głową cała nasza czwórka, Różewicz rzucił :

- a nad Jeziorem Głębokim nadal jest tak pięknie?

Otworzyliśmy usta ze zdumienia:

- Mistrzu, mistrz zna Jezioro Głębokie?!

- Znam, znam . Wiele spacerów tam zrobiłem wokół jeziora. To miejsce ma swój urok i magię.

- Tak to przepiękne miejsce – powiedziałem – nawet tam w tym roku byliśmy całą paczką. A jesienią jak tam pięknie.

- tak, tam jest naprawdę pięknie – potwierdził Różewicz.

Atmosfera spotkania uległa znacznemu ociepleniu. Różewicz zaczął nas wypytywać o Szczecin.

- a słyszeliście coś o Witoldzie Wirpszy?

Pokręciłem głową :

- nazwisko gdzieś słyszałem ale nic więcej nie wiem.

- a słyszeliście coś o Jerzym Andrzejewskim?

- no pewnie – odpowiedzieliśmy chórem. Uczyli nas w szkole

- My z Andrzejem – dorzuciłem – zmasakrowaliśmy *Popiół i diament* , jako lekturę obowiązkową na lekcji polskiego.

Andrzej pokiwał przytakująco głową

- tak, tak – obnażyliśmy prawdziwe oblicze towarzysza Szczuki.

Tadeusz Różewicz zamyślił się na chwilę ale chyba nie z powodu naszego zmasakrowania *Popiołu i diamentu* Jerzego Andrzejewskiego.

- To tego jeszcze uczą w szkołach jako lektura obowiązkowa? – wyglądał na zdziwionego.

Potwierdziliśmy zgodnie ten fakt, ale jakoś dalej Tadeusz Różewicz nie drążył tematu lektur obowiązkowych w programach nauczania licealnego.

- Wirpsza i Andrzejewski mieszkali w Szczecinie właśnie na Głębokim – wyjaśnił Różewicz kończąc ten temat. I tam bywałem stąd znam Jezioro Głębokie gdzie spędziłem wiele godzin na spacerach i dumaniu.

- Zobaczcie jak wygląda pokój poety – zatoczył ręką wokół – skromnie i prosto jak widzicie, nade mną jest obraz Nowosielskiego , znacie Nowosielskiego?

- Tak, powiedziałem to taki malarz z Krakowa , Jerzy Nowosielski.

- Zgadza się , Jerzy Nowosielski to mój przyjaciel.

Tadeusz Różewicz sięgnął ponownie po notes i długopis.

- teraz skoro wiem że jesteście ze Szczecina to chciałbym wiedzieć coś więcej, czym się zajmujecie, zacznijmy od ciebie – Różewicz pokazał na mnie

- mistrzu, piszę wiersze , studiuję , chcę coś zrozumieć więcej z poezji, co ona może nam dać, na jakie pytania odpowiedzieć.

- a co studiujesz? Polonistykę?

- nie, mistrzu, studiuję na takim kierunku o nazwie cybernetyka ekonomiczna.

- to takie studia są teraz na uczelniach a czego się tam uczycie?

- ***ale to dopiero początek*** , jestem na pierwszym semestrze….

Kolejni koledzy byli w piątej klasie technikum, bo licea były czteroletnie, więc Różewicz przepytał szybko co tam u nich i przeszedł do ostatniego, którym był Andrzej.

- a ty młody człowieku?

- studiuję na pierwszym roku prawa

- w Szczecinie?

- nie tutaj, we Wrocławiu

- a jak się nazywasz – zapytał Różewicz – uzupełniał swoje notatki o nasze dane personalne

- No Andrzej się nazywam

Tadeusz Różewicz od razu widać skojarzył nazwisko po powiedział :

- to nie ty przypadkiem do mnie tu wydzwaniasz i umawiasz się na spotkania i nie przychodzisz?

- tak to ja- westchnął Andrzej – no ale w końcu przyszedłem przecież

Tadeusz Różewicz trochę pokręcił głową ale dodał żartobliwie :

- tak , rzeczywiście w końcu doszło do spotkania.

a po chwili powiedział

szkoda że nie przyszliście

do mnie przed dwudziestu laty

- Mistrzu – zdziwiłem się – to przecież byłoby nie możliwe

- jak to niemożliwe – zapytał Różewicz

- ***nie było nas jeszcze***

na świecie

Zapadła chwila milczenia.

przyglądałem się

czterem twarzom

odbitym w zamglonym lustrze

mojego życia

usłyszałem

z bardzo daleka

ich głosy czyste i mocne

Postanowiłem przerwać ciszę i zapytałem

- Mistrzu

nad czym pan teraz pracuje

co pan robi

nic nie robię

dojrzewałem przez pięćdziesiąt lat

do tego trudnego zadania

kiedy „nic nie robię”

robię NIC

Roześmialiśmy się głośno, jak to nic? Zupełnie nic? Przecież pan pisze , czyta , spotyka się z czytelnikami.

Tadeusz Różewicz westchnął

- tutaj chodzi zupełnie o coś innego, ale tak rzeczywiście pracuję nad dramatem , piszę go na zamówienie norweskiego teatru , to jest rzecz o Kafce , tytuł Pułapka. Znacie Kafkę?

- Znamy, czytaliśmy Proces

- Bo wiecie, ja mam mało czasu – nagle zmienił temat Tadeusz Różewicz

- Jak to mało czasu? Poeta czyta i pisze poezję, ma dużo czasu

Różewicz zaprzeczył:

- nie ja mam mało czasu, tu chodzi o inny czas, czas do życia. Przede mną jest mało czasu ja muszę zmieścić się w tym czasie który mam, on nieuchronnie upływa.

Nie bardzo rozumieliśmy te kwestie w czym Różewicz się od razu zorientował

- A właściwie to o czym byście chcieli rozmawiać, o co zapytać, czego się dowiedzieć?

Po chwili milczenia zacząłem mówić:

- Mistrzu , czy pamięta pan ten swój wiersz z Gliwic, kiedy samobójca wyskoczył z okna?

- taaak? I co?

- i on, ten samobójca leżał nieżywy na trotuarze, przykryty gazetą , spod której wystawały żółte półbuty. I tam na końcu się Pan pyta, czego nie zrobiliśmy my poeci, co powinniśmy zrobić my poeci, żeby takich zdarzeń nie było. Jaka jest nasza powinność , jaka nasza rola, jakie nasze zadanie , jak mamy składać słowa by odpowiedzieć ludziom na ich smutek i ich los.

Tadeusz Różewicz przyjrzał się mi uważnie.

- Ty piszesz wiersze?

- tak piszę wiersze.

Tadeusz Różewicz nachylił się ku mnie jak Jan Paweł II do Ali Agcy, pochyliłem się i ja ku niemu. Wyglądaliśmy jak spowiednik i spowiadający się. Jakbyśmy przekazywali sobie ważny sekret.

- Słuchaj uważnie – powiedział Tadeusz Różewicz – poezja umarła. POEZJA UMARŁA.

Wyprostowałem się gwałtownie

- to nieprawda mistrzu, poezja żyje, przecież pan sam pisze wiersze

Tadeusz Różewicz zaprzeczał kręcąc głową na nie.

- Może jeszcze proza jest coś warta, poezja umarła.

Zmartwieliśmy, mieliśmy coś się dowiedzieć ważnego o poezji a dowiedzieliśmy się że poezja umarła.

- mistrzu, może chodzi to że poezja umiera na stronach gazet , sam Pan zauważył że

nowe wiersze

ogłaszane w tygodnikach

ulegają rozkładowi

w ciągu dwóch trzech godzin

Tadeusz Różewicz powiedział :

- poezja w ogóle umarła, kto żyje kto oddycha poezją? Proza ma jeszcze szansę. Widzę że znacie moje wiersze, coś jeszcze chcecie przywołać?

- *Opowiadanie o starych kobietach* – powiedziałem – strasznie pana za to opisywali ale przecież mistrzu miałeś rację że starsze kobiety

są solą ziemi

znają odwrotną stronę

medalu

miłości

wiary

Starsze kobiety , które nas wszystkich urodziły są naszym oparciem i zakotwiczeniem , naszą opoką a my zdobywamy kosmos i odkrywamy Amerykę.

- tak, właśnie tak – potwierdził Tadeusz Różwiecz. Kto teraz chciałby pisać o starych kobietach?
- Pan mistrzu, pan wydobywa z szarości i codzienności to co powinno nam stanąć przed oczami jako ważne. To jest poezja.

- poezja umarła – powtórzył po raz kolejny Tadeusz Różewicz

Julo dawał mi znaki, kątem oka zauważyłem jego gestykulacje, podniosłem brwi pytająco:

- zapytaj go o Witkacego – szeptał prawie bezgłośnie Julo, który był zafascynowany Witkacym.

- Mistrzu czy miał Pan okazję poznać Witkacego?

- nie skądże, u nas w Radomsku? – Różewicz był zaskoczony pytaniem. U nas w Radomsku był tylko Zegadłowicz. Nawet nie wszedłem na salę, tylko słuchałem na zewnątrz.

Julo wyraźnie stracił entuzjazm po tej wypowiedzi Różewicza, skąd mu przyszło do głowy że Różewicz znał Witkacego?

Niemniej Julo miał jeszcze jeden pomysł i ręką wskazał na swój chlebak i głową kiwnął by zapytał Tadeusza Różewicza czy się z nami napije wódki.

Zebrałem się na odwagę :

- Mistrzu , mam jeszcze takie pytanie – zacząłem powoli

- Pytaj śmiało, jakie pytanie?

- Co mistrz sądzi o piciu alkoholu – wyrzuciłem z siebie w końcu odważnie.

- co ja sądzę o piciu alkoholu? – zastanawiał się Różewicz , wyraźnie wyglądając na zaskoczonego.

- pod wpływem alkoholu nie stworzy się nic ciekawego, nic wartościowego. To droga donikąd , nie można tego łączyć. No ale setka jeszcze nikomu nie zaszkodziła, wręcz przeciwnie pomogła – roześmiał się Tadeusz Różewicz.

Rozmowa jeszcze trwała jakiś czas, Tadeusz Różewicz pytał nas jakie mamy plany na dalszą część dnia.

Opowiedzieliśmy , że będziemy z Andrzejem zwiedzać Wrocław, a wieczorem idziemy na spektakl teatralny, inscenizację Transatlantyku Witolda Gombrowicza.

- o to dobrze , że idziecie, znam tego reżysera – powiedział Tadeusz Różewicz – na pewno warto obejrzeć spektakl.

W korytarzu pojawiła się żona Poety

- nie zmarzniecie? Taki śnieg i mróz.

- Jesteśmy dobrze przygotowani, mamy kalesony, podkoszulki ciepłe.

- To dobrze, wcześnie się teraz robi ciemno, uważajcie na siebie.

.

Tadeusz Różewicz żegnał się z nami razem z żoną w korytarzu naprawdę serdecznie.

Widać jedna kwestia nie dawała mu spokoju bo zapytał się :

- czy problemy z narkomanią wśród młodych są tak szerokie jak to się przedstawia

- Niestety tak, znamy takie osoby – potwierdziliśmy. Różewiczów to zasmuciło.

Zwracając się do mnie powiedział :

- pamiętaj że poezja umarła, pisz lepiej prozę

- nie zgadzam się że poezja umarła, ale jaką prozę mam pisać?

- pisz choćby pamiętnik

- pamiętnik , jak jakaś dziewczyna ? – oburzyłem się

Tadeusz Różewicz roześmiał się:

- nie , nie dziewczyński pamiętnik, raczej dziennik

- dziennik,…….to może jakieś wspomnienia

- o, właśnie – Różewicz się zgodził – to dobry pomysł, napisz jakieś wspomnienia.

To będzie lepsze niż poezja. Napisz jakieś wspomnienia.

I tak się pożegnaliśmy.

Wrocław w pierwszą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego 13 grudnia 1982 roku był mroźny i zasypany śniegiem. Wszędzie krążyły patrole ZOMO, co przypominało i nam obrazy ze Szczecina.

Weszliśmy w ten krajobraz z wieścią że poezja umarła.

Ale my mieliśmy żyć dalej.

,

W następnym roku gdy spotkałem Boba powiedział

-słuchasz nocy poetów na trójce?

- Nie, zazwyczaj już śpię o tej porze. Ale wiem że któryś tydzień miał być „różewiczowski”.

- no właśnie, były wiersze Różewicza

- i co?

- były nowe wiersze

- jednak pisze wiersze?

- tak, i to był wiersz o naszej wizycie i rozmowie

Zatkało mnie:

- nieprawdopodobne, twierdził że poezja już umarła

- a jednak

- i o czym to był wiersz?

- no taki raczej o tym żeby nic nie robić, żeby wybrać niedziałanie

widzę byle jakie działanie

przed byle jakim myśleniem

- I co jeszcze?

- no i nasze rozmowy, to chyba trudny wiersz. Po za tym słyszałem go raz w radio.

- trzeba go zdobyć, musi być gdzieś wydrukowany

- trzeba , trzeba

Podumaliśmy chwilę jakie to są ciekawe losy naszych spotkań.

Powiedziałem na koniec:

- Różewicz twierdził że poezja umarła, a napisał wiersz. To więc poezja umarła czy nie umarła? A może odżyła? Może odżyła w Tadeuszu Różewiczu? I jaki to ma być przekaz dla mnie o który prosiłem. A jaki dla Marinera?

Czy bardziej robić NIC widząc tych którzy wybrali działanie, byle jakie działanie przed byle jakim myśleniem?

Kiedy dojrzeję do tego by robić NIC? Czy będę

Dojrzewał przez pięćdziesiąt lat do tego trudnego zadania?

W radio bzdet i wszędzie dookoła słyszę jak byle kto mówi byle co do byle kogo?

Nie mogę być byle jaki, mimo że byle jakość ogarnia masy i elity.